



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

ENTUZYASTKA—MATKA.

(Dokończenie).

Przymioty moralne, szlachetne cnoty człowieka, nie są to kwiaty, któreby zakwitły mu w duszy, jak wiosną na błoni, rozsiane dowolnie techniem wietrzyka, który na podmuchach swoich nasionka ich nosił. Łańcuch to być musi, złoty, srebrny, a choćby żelazny tylko, w miarę jak kogo stać na drogocenniejszy, szlachetniejszy kruszec ducha, ale zawsze tem on piękniejszy, tem w wartości swej wyższy, im doskonalej regularny, im szczelniej spojone są te ogniwa, które zahaczają się o siebie i jedne drugim za konieczny punkt oparcia, za konieczny punkt wyjścia, służą. Dobro, jak piękno, bo też piękno to jest duchowe, polega na harmonii i równowadze; gdy ta się zmiesza, następuje nieunikniony zamęt, nieład: starcie i potracanie się rzeczy wzajemne, przez które złe wchodzi niespodziewanie, nieprzewidziane — nieprzewidziane, niespodziewane miejsce między nami zabiera. Matka dobra—w znaczeniu entuzyastki-matki — musi być niemniej dobrą żoną w takiemśamem znaczeniu dobrego, które się jednym skrzydłem swej anielskości o serce, o uczucie, o tklliwość miłosną, drugim o sądką, zastanawiającą się myśl, o rozum opiera. Otóż matka entuzyastka, która dla dzieci swych pragnie wycho-
wania, nauki, kształcenia wszystkich zdolności w warunkach najlepszych, najdoskonalszych, która pożąda dla nich najlepszej szkoły, najrozumniejszych nauczycieli, najwyborniejszych pomocy nauko wych, niemniej też i środki materialne, kosztą-
pieniężne tego wszystkiego oblicza, jeżeli głównym

dochodem rodziny jest praca męża i ojca. Dobre, lepsze, najlepsze, ma swoje znaczenie względne i to dopiero jest najlepszością rzeczywistą, co na szali ogółu obowiązków naszych przeważone, nigdzie niedoborem się nie wykaże. Rodzice niezawodnie powinni dla dobrego wychowania, dla dobrze prowadzonej nauki dzieci, ofiary nawet ponosić, ale ofiary takie tylko, przy których ich poświęcenie innych obowiązków nie narusza, i żona która ze względu na dzieci, na dzieci tych dobro, wyznacza mężowi los przynięconego trudem robotnika, która w imię miłości swej dla nich, wymaga, aby on był karyatydą ową, której barki są wiecznie pod ciężarem schylone, jest najpierw niedobrą żoną, następnie w wynikłości koniecznej niedobrą matką i kobietą mało sumienną. Brakiem sumiennosci jest zawsze samolubne żądanie od innych nadmiernego poświęcenia, czy-to dla nas samych, czy dla naszych ukochań, choćby z innej strony tak godziwych, jak miłość matki dla dzieci, jak pragnienie dla nich szczęścia i dobrobytu. Może jeszcze mniej sumienną jest żona, gdy rzeczy takiej wymaga ze względu na siebie samą, dla próżności, dla zabawy swojej, dla zadowolenia jakichkolwiek chęci swoich, ale i tu jest ona winną, winną bardzo, nawet jako matka, bo mąż zapracowany, wyczerpnięty trudem, nie może być takim ojcem, zaznaczającym się moralnie w wychowaniu dzieci, jakim być powinien. To prawo fizyczne, że nikt jednocześnie w dwóch miejscach przebywać nie może, rządzi i w dziedzinie moralnej: ojca, który się dał pochłonać pracy na utrzymanie rodziny, zbraknąć musi nieuniknie-
nie na innem w tej rodzinie stanowisku; niema go tam, gdzie stać powinien obok żony, jako dzieci swych współwychowawca, jak wychowania żywioł męzki. Przy trudnych dziś warunkach ekonomicznych utrzymania bytu musi tak być w wielkiej liczbie rodzin małozamożnych, ale dola i niedola ludzka, ma swe konieczności okrutne, którym się poddawać musimy. Francuz, o takich nieprzeła-

manyh ostatecznościach losu wyraża się odważnie: „A la guerre, comme à la guerre!“ — Niemiec mówi poważniej: „Mus to twardy orzech!“ my zaś smutne poddanie się nieprzepartemu nakazowi losu określamy sobie przez przysłowie: „że muru głową się nie przebije“. Ale tam, gdzie się mur wznosi dobrowolnie, gdzie mogąc inaczej, urządza się życie tak, aby stał przed nami, jako ograniczenie szkodliwe—tam jest i grzech i szaleństwo, które ciężką winą duszę kobiety obarcza. Ta miłość, którą poeta nazywa „na wszystko ostrożną“, to miłość jedynie prawdziwa i innej niema, a tylko coś noszącego jej pozór: coś, co jest podgatunkiem tego uczucia i dlatego też kobieta-entuzyastka, przez sumienia swego czułość z jednej strony, z drugiej zaś przez obowiązkowe pojęcie powinno-
ści żony i „na wszystko ostrożną“ miłość dzieci nigdy tak wychowania ich nie urządzi, aby to było dla niej naruszeniem świętego obowiązku, a w stosunku do dzieci pozbawieniem ich moralnego wpływu, moralnej opieki ojca. Gdyby chciała czynić z tego męża wyrabiającą pieniądze maszynę jedynie ze względem na dobrobyt dzieci fizyczny, na fizyczną dzieci wygodę, byłaby to już kobieta poprostu niska, mało szlachetna, ograniczona w miłości swej macierzyńskiej do instynktowego popędu zwierzęcej natury, albo gorzej jeszcze: egoistka, dalszy ciąg własnej istoty w dzieciach miłująca, i taka — a bywa ich na świecie niemało — już pod żadnym pozorem nie może rościć sobie prawa do tytułu entuzyastki. Gdy przecież chodzi o stronę rzeczy wyższą: o naukę, o kształcenie dzieci takie, aby potem mogły w życiu wnieść się przez pracę zawodową do sfer towarzystwa podnioslejszych, rodzice mogą się łatwiej mylić: matka może zażądać, ojciec może żądać temu uleść i biednym groszorem się uczynić na korzyść dzieci, jak sądzi.

Czy na korzyść przecież?

Czytałam niedawno w przypisach, którymi Longfellow opatrzył *Pieśń o Hiawacie*, jak dziki

Indyanin chłopca wcześniej na łowy ze sobą zabiera, jak mu każe ciężkie pęki gałęzi nosić, jak go przed wtajemniczeniem w trudy rybołówstwa w zimną, głęboką wodę rzuca i ratować się z niej każe, jak go głodzi, jak go bije, aby zahartować na ból, znoszenia braków nauczyć — przyzwyczaić go do twardego życia wśród lasów i pustyni, uczynić zeń, w znaczeniu nie poddania się Anglosaxonom, człowieka szlachetnego. Fizyczna to jest strona wychowania, bo tam życie małego ponad fizyczność się podnosi i przez fizyczność ideały moralne osiąga; ojciec jednak już i tam rozumie, że są pewne pierwiastki męskości, które on synowi swemu dać powinien, bo on jedynie dać mu je może w całej ich działalności należnej i poczuwa się do tego, jak do obowiązku z ojcowskiego wypływającego. Tak jest wszędzie i zawsze dla ludzkości całej, na każdym szczeblu cywilizacyjnego jej rozwoju, w każdym położeniu życia, w stanie każdym: ojciec ma swój dział wychowawczy, jedną stronę moralnego wyrobienia duszy dziecka, i gdy tego zaniedba, stanie się dziecku temu krzywda wielka.

Entuzjastka znaczenie cnót męskich i wpływ męskości na życie pojmuje. Najdzielniejsza, najhartowniejsza, jeżeli jest właśnie doskonałą kobietą, musi być inaczej dzielna, inaczej hartowna, niż mężczyzna. Dowodzić tego nie mam nawet potrzeby, nie mam potrzeby wykazywać, że ani rodzina doskonale szczęśliwa, ani wychowanie dziecka doskonale dobrem być nie może tam, gdzie mężczyzna jest moralnie nieobecny, i żaden przyrost pieniężnych środków szkody tej nie wynagrodzi. Mniejszą jest ona o wiele tam, gdzie osierocenie stan taki sprowadza, ale gdzie bez najwyższej tego konieczności, ojcowsstwo redukuje się do zaopatrywania rodziny w grosz większy lub mniejszy, gdzie ojcowsstwo moralne wpływy za ten grosz się sprzedają, tam odbywa się handel Ezawa: oddaje się świat cały szlachetnego działania na młode dusze dzieci swoich — za miskę soczewicy!

Wyższa nauka jest rzeczą bardzo wielką — jest rzeczą ogromną. Rozleglejsza wiedza to świat nagle przed oczyma naszymi rozjaśniony, to horyzonty jego rozszerzone do tej wiedzy zakresu, to umysł uskrzydłony przez myśl jasną i swobodną, a nawet to ta karyera światowa, tak bardzo przez większość matek dla dzieci swoich pożądana. Tak, wszystko to razem się tam mieści, i w dodatku to godność osobista istoty, która się czuje rozumną, i duma mająca do tego prawo bez pychy: a jednak jest jeszcze coś nad to wyższego, co lepiej do życia uzdolnia, górnij niż świadomość umysłowej potęgi podnosi, w trudnościach skrzyżowanych dróg życia skuteczniej radzi i jest pewniejszym szczęściem zabezpieczeniem nad los najświetniejszy, stanowisko w świecie najwyższe.

Dziecko swoje doskonale moralnem, doskonale cnotliwym uczynić, wyrobić w niem wolę silną, dać mu nieklamane piękna duchowego ukochania, dać silne panowanie nad sobą i podnieść je nad rozkosze używania, nad to rozmiękczenie, które zeń płynie, oddaje człowieka mimo jego woli w podległość losu, złota i rozmaitych względów tego rodzaju: jest to więcej niż dać mu naukę akademicką i wiedzę wszystkich mędrców świata. Energia i dzielność ducha, jego spokój szlachetny i chęć pracy wytrwała, silniej też szczęście rzeczywiste warują, wyżej nad zmienne koleje losu podnoszą, niż wszelkie inne sprężyny i środki posiadania, torowania sobie drogi pomiędzy ludźmi; czego przecież nigdy nie osiągnie się przez wychowanie połowiczne, gdzie braknie zgody między zasadą a czynem, między postawionym nam wysoko ideałem moralnym, a praktyką życia codzienną. A jest tak z konieczności tam, gdzie ojciec całą istotą swoją jest zarobkowaniu oddany, gdzie dziecko w darze wychowawczym tylko pieniądź od niego dostaje i widzi to, a widzieć przecież musi, skoro już z pierwszego dzieciństwa wyjdzie i trochę myśleć, trochę zastanawiać się nauczy. Lepiej też dać dziecku naukę średnią, lepiej w staraniach nad jego kształceniem najlepszości nie szukać, a ojca go nie pozbawiać, z życia ojca, które się jedynie do materialnego zabiegu ogranicza, złego przykładu przed oczyma mu nie stawiać. Kiedy ojciec, robotnik ubogi, od rana do nocy na utrzymanie rodziny pracuje, wdzięczność za to

rośnie w sercu syna, ale nie tam gdzie się ma już salon, a może i *boudoir*, gdzie się dzieci w ładne żakietki ubiera, a matka jedwabne suknie nosi.

To tylko: salon, suknie, zbytek, choćby on względnie biorąc, nie był przepychem, to jedynie można i trzeba dać na ofiarę dzieci swoich, i matka entuzjastka tak też rzeczywiście czyni — tak, a nigdy inaczej.

Matka entuzjastka jedną jeszcze rzeczą wysoce cenną dzieci swoje uposaża, i choćby miała dla nich w posagu wszystko złoto Peru, albo, wyrażając się językiem bardziej nowoczesnym, skarby wszystkich Rotszyldów, choćby przytem nietylko z karmazynowego rodu pochodziła, ale miała do przekazania im mitrę książęcą, będzie ich chować w skromności prostych oile można obyczajów i sybarytyzmu ich nie nauczyć, przez tak zwany komfort moralnie i fizycznie ich nie rozpieszczać, nie rozleniwić. Nowożytny postęp cywilizacji materialnej dodaje jeden rozdział więcej do książki wychowania macierzyńskiego, które znajduje przed sobą zadanie, stosunkowo nowe, strzeżenia istot młodych przed nawykami denerwującymi fizycznie i obniżającymi moralnie to, co można nazwać jednością ducha. Mięknie on wśród rozmiękczających wpływów wyrafinowanego dobrobytu, który otacza człowieka jakgdyby ciągłą pieszczotą. Dziecko, które się tak chowa od urodzenia, rośnie niedotknięte niczem, co jest twarde, ostre, surowe; każda jego potrzeba ma już napróżd obmyślane zadowolenie, które przychodzi mu gotowe i nie jest opłacone żadnym trudem, żadnym wysiłkiem woli i chęci; znajduje ono do wszystkiego narzędzie pod ręką, środki podsuwającej mu się wygody, do której nawykamy zwolna i która nas osłabia, a przynajmniej tak wydelikacza, że wkrótce staje się niezbędną i nie możemy rozstać się z nią bezkarnie, bez ofiary często tak ciężkiej, że ta jest już dla nas poświęceniem. Wytwarzamy sobie w ten sposób potrzeby coraz nowe, sztuczne i stajemy się ich niewolnikami; trzeba nam potem walczyć, gdy chcemy podnieść się ponad ten stan zależności, cierpieć, gdy konieczność zmusza nas do tego. Obciążamy sobie w ten sposób życie ciężarami coraz większymi, stając się drugostronnie słabszymi coraz, i wolna wola odstepuje nas prawie, zatracamy w sobie ten najwyższy, najszlachetniejszy atrybut ludzkości, nie przestając jednak być odpowiedzialnymi moralnie, bo pomimo całego rozsiewania doktryn ogólnej niewinności człowieka, społeczeństwo wytyka i skazuje zawsze winnych, a sumienie własne winy karze.

Zatem dla szczęścia dzieci swoich, dla swobody ich ducha, dla ducha ich dzielności, matka dobra, matka entuzjastka chowa je w surowej prostocie obyczajów. Siła woli, energia charakteru, pomyślowość rzutka, sprężystość moralna i fizyczna rozwija się w młodej istocie, gdy codziennie coś znieść, z czemś się łamać, coś sobie zdobyć musi, a przeciwnie, jak te rybki, które zagubiają organ wzroku w wodach podziemnych, wszystkie przymioty, będące w człowieku siłą i wytrwałością, zatracają się w wychowaniu nieskładającym do ich używania. To spartańskie chłopię, któremu lis bok wyżerał, a ono zakryło zwierza szatą i w dumnym wstydzie nie wydało nawet twarzą cierpienia, czy odrazu przyszło do tej siły ciała i ducha, do tego panowania nad nerwami swymi, nad uczuciem bóleści i przeniosło ją — tę boleść, nad upokorzenie?

To dziecko spartańskie sypiało twardo, jadło nie przysmaki, znosiło nieraz głód i chłód, ból rozmaity, rozwijało siłę w ćwiczeniach jej codziennych i wychowanie takie ubogaciło je w męstwo heroiczne i razem wytrzymałość kamienną. Choćby poryw ducha wzniosły tak naraz chciał podnieść dziecko, inaczej wychowane, to cóż? Mdałoby biedne, padłoby bezsilne.

Wychowanie proste ma jeszcze jedną wysoce ważną stronę: nie dzieli tak ludzi na kasty, nie odcina tak nawykami uboższego od zamożniejszego i zarazem nie powleka tak ludzi jedną barwą kosmopolityczną. Dawniejsze obyczaje przez inny układ życia i jego warunki inne, nie tak rozwinięty przemysł, handel, zachowywały silniej się akcentującą swojskość z jej naturalnymi gustami, z jej upodobaniami, zamiłowaniami rodzinnymi,

z rodzimym pierwowzorem życia, z rodzimym stylem piękna, — otóż te obyczaje dawne, te obyczaje prostsze, zachowują nam z konieczności i to dobro, że nie roztapiamy się w jakąś powszechną bezbarwną, że zachowujemy kolor własny, co nie jest rzeczą małego znaczenia, bo to jest zewnętrzna charakterystyka naszego ducha, jego właściwość w wyrazie swoim, cecha samodzielności. Społeczeństwo bez cech swoich wybitnych, to jak człowiek bez indywidualności własnej: coś zmazanego, naśladowczego, co nie tworzy, lecz przybiera, ptak ubrany w cudze piórka. Zatracić swoje obyczaje, to zatracić swoją oryginalność, wytracić swój promień z tęczy ludzkości i zniknąć duchem z koncertu świata. Ludy Zachodu wyprowadziły nas w przemysł, w bogactwie, w cywilizacji, że zaś przez chęć używania bierzemy od nich gotowe już wyniki ich pracy w tym kierunku, przybieramy sobie zarazem i ich obyczaje, co jest wynaradawianiem się moralnem i klęską — niebezpieczeństwem. Już jeden z ekonomistów francuskich wytknął nam z mównicy ślepe poddawanie się niebezpieczeństwu temu, wykazując, wprawdzie inną, ekonomiczną rzecz stronę. Mówiąc o zbytku i dowodząc, jak przez odwracanie kapitału od prac lepszej, pożyteczniej produkcyjnych, uboży on narody, dodał, że jednak najcięższą klęską staje się dla tych ludów, które używając obcych wytworów zbytku, oddają za nie niepowracający do nich nigdy kapitał i rzekł: „naprzykład Polacy“...

Moralista nie byłby poprzestał na tem, moralista byłby dodał: — Polacy za używanie wykwin-tów nowoczesnego zbytku, których sami sobie nie umieją wyrobić, płacą nietylko groszem przepadającym dla nich nazawsze, ale w dodatku wzywają się z obyczaju swojskiego, który zostaje rugowanym przez obcego ducha, wchodzącego tam z obcymi sposobami życia...

Jak daleko ta klęska sięga, tak daleko następuje taki rozbrat, rozwód ze społeczeństwem, i matka entuzjastka wyciąga też ręce przed gromadką swoją i broni, nie puszczając tego zgubnego wpływu. Czy uboga, czy bogata, nie jest ona nigdy zbyt nędzną, ani dla siebie, ani dla dzieci swoich, którym po Bożemu, po swojemu czuć, myśleć każe, którym charakter na swojskich wzorach wyrabia, w swojskiego obyczaju prostocie do życia hartuje.

Matka entuzjastka, to zatem ta, która kocha, nie instynktem i nie egoizmem, która w dziecku swoim widzi przedewszystkiem człowieka z jego szlachetnem przeznaczeniem w ludzkości, chowa je do przeznaczenia tego celów wysokich i poświęcając mu z zaparciem najwyższem samą siebie, nie zaprze się przecież nigdy tego, co jest w niej godnością i obowiązkiem. Dla dziecka swego to żywy przykład cnoty i dostojności ducha ludzkiego, dla społeczeństwa kapłanka, która ognia świętego strzeże; przed nią też, jak przed Westalką Rzymską powinny, odkrywać się głowy i pochylać czoła; jej się należy dębowy wieniec zasługi.

Ona-to, gdy dzieciątko swoje raz pierwszy do łona tuli, podnosi wzrok ku górze i mówi za poetą:

Czyni każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży,
A całość sama się złoży...

Marya Ilnicka

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ten i ów miał posłannictwo, niby we własnej sprawie dojechać do Białej, aby *de visu* przekonać

się o stanie zdrowia i o usposobieniach chorążego. Wszyscy ztamtąd powracający świadczyli jednoznacznie, iż księżę miał się coraz gorzej.

Choroba mu wcale nie przeszkadzała coraz więcej rozmiłowywać się w pięknej Faustysi, a czasem, gdy nogi pozwalały, przywlec się do niej wieczorem, na te zaloty, które zawsze w jeden sposób zaczynały się i kończyły.

W zimie obiecywał sobie księżę, iż więcej sił i rzeźwości odzyska na wiosnę, okazywało się potem, że wiosna była niegodziwa; czekano lata, lato było zbyt skwarne; wyczekiwano jesieni zbawczej — i ta zawodziła, a zimą zawsze księżę czuł się gorzej.

Butrym tak cały ten rok przemęczył, kryjąc się w lesie, przekradając niekiedy do Białej, listy pisząc do Faustyny, ciągle sobie obiecując, że się lepsze złożą okoliczności do ucieczki.

Przeszkodziło coś zawsze. Wolski czuwał, śledził, gonił i nawet w lesnej kryjówce trzeba się było już od niego chronić coraz gdzieindziej, bo miał takich, co i tu zachodzili, przewąchywali, zasadzki robili.

Całą pociechą Damazego było, gdy albo Marcyan z Wisznia do niego dojechał, albo on się mógł wybrać na jaki dzień spocząć u brata.

Miało się już ku drugiej wiosnie, gdy według umowy, Marcyan, przyrzekłszy odwiedzić brata, który w chacie u gajowego przemieszkował, już trzeci raz zmieniając schronienie, przybył nad wieczór do niej.

Chałupa stała w głuchym lesie, niewielki kawał wydartego pola i ogrodu mając dokoła. Nie często się tam kto zjawiał obcy, bo oprócz krętej dróżyny, która do niej wiodła, żaden gościniec większy nie przechodził w pobliżu. Chwostek gajowy, mieszkający tu, człek stary, sam jeden, ze starszą jeszcze od siebie żoną, która prawie się już z pieca nie ruszała, i chłopakiem sierotą — żył na tej pustyni od wielu lat. Damazy był tu bezpieczniejszym a Chwostkowi też z nim nieźle się działo, bo mu i płacił i pomagał około lasu.

Butrym Marcyan, jako podłowczy, dobrze znał Chwostka od lat wielu. Stał właśnie stary w czapce na głowie, w kurcie z różnych odpadków futer lisich i wilczych uszytej, w kurpiach na nogach, czyszcząc strzelbę długą i ciężką, odwieczną, ale przez Chwostka za największy skarb cenioną.

Strzelba ta, za którą-by nikt nie dał pół tyńfa, nie miała sobie równej w oczach człowieka, który, lat trzydzieści z nią chodząc, zrósł się, nawykł i na żadną w świecie-by jej nie mieniał. Szrubki i sznurki nadwreżony jej zamek i łożysko wzmacniały.

Słyszając tentent konia, podniósł Chwostek głowę, uśmiechnął się, czekał — i strzelbę postawił, aby gościa powitać.

Zdziwił się jednak nieco, spostrzegłszy i poznawszy przybywającego Marcyana, któremu do nóg się pokłonił, zbliżywszy się do konia.

— Niech będzie pochwalony! — a brat mój?

— Właśnie, słyszając tentent, myślałem, że on powraca.

— Niéma go?

— Pojechał do Białej, już trzeci dzień, — odezwał się Chwostek — nigdy tak długo się nie bawi.

— Sam jeden?

— Sam, Pawluczka nie brał.

— Konno?

— Jak zawsze — konno.

— A kiedyż powrócić obiecywał?

— Nie mówił-bo nie.

Butrym, po krótkiej tej rozmowie, niespokojny trochę — z konia zsiadł.

— Dziś-bo koniecznie chyba musi powrócić — dodał Chwostek — poczekajcie, tylko co go nie widać.

— Trzeci dzień! — odezwał się Marcyan. — Za długo się zabawił. Gdzież on tam nocuje? Chyba u Reformatów?

Chwostek nie odpowiadał.

— Dziś koniecznie, choć nocą, a powróci — rzekł po chwili.

Marcyanowi trzeba było czekać, a pod noc napowrót się do Wisznia wybrać nie myślał nawet, bo i szkapą zmęczona była.

Chwostek wprowadził go do chaty, sam z chłopcem zajmując się przyjęciem, do czego był przywykły, bo stara rzadko się wzięć mogła do gospodarstwa i z pieca tylko dysponowała im, co mieli robić. Wiedziała ona, co gdzie leżało, ile czego było w spiżarni i w bodniach; posyłała męża, który posłusznie szedł za jej rozkazami.

Błada twarz starej gospodyni pokazywała się czasem zza pieca, aby dojrzeć, jak ją zastępowano.

Przygotowano wieczerzę, składającą się z jajecznicy i mleka, do których był chleb zczerstwiał, bo w domu go nie pieczono i z miasteczka przywozić musiano. Butrym z sobą miał flaszkę wódki, którą i Chwostka poczęstował i starej się dał jej napić. Przesiedzieli dopótna za stołem, gwarząc, nasłuchując, ale Damazego jak nie było, tak nie było.

Marcyń niespokojnym być zaczynał.

Chwostek też nie tał, że i jemu różne złe myśli przechodziły.

Wstali obaj nazajutrz do dnia, rozpalono ogień aby zgrzać mleka; czekano ranek cały — napróżno. Czwarty dzień — było się czem niepokoić.

Marcyń czuł, że coś złego się stać musiało, a zuchwałstwo Damazego, który dotąd cudem się ratował, że go nie pochwycono — czyniło to wielce prawdopodobnem. Chwostek już nie mówił tego dnia nic, zadumany był smutnie — zwieszał głowę.

Około południa radzić poczęli, co zrobić? Czy lepiej było, aby się stary poszedł dowiedzieć do miasta, czy Marcyń miał jechać sam?

Chwostek ofiarował się chętnie, ale niewiele sobie ufał, bo oprócz do karczemu, nie miał gdzie zajść, a pytać mu się o Butryma, było trudno.

— Pojadę sam — rzekł Marcyń — a jeżeli rozminę się z Damazym, to mu powiedz, aby tu czekał na mnie.

Ruszył tedy wprost do Białej i wieczorem zajął, nie do gospody, ale do Reformatów. Wiedział, że mu O. Remigi na jedną noc nie odmówi przytułku. Gwardyan, choć obu braci za zuchwałstwo lajał, choć ganił ich spiski przeciwko księciu, miał litość nad nimi — i niby o niczem wiedzieć nie chcąc — gderząc, konia pozwalał postawić i nakarmić.

— Oj! ta młodzie! — mówił im — najstateczniejszy z nich jeszcze niewiele wart. I paskiem groził — ale nie bił.

Marcyń oddawna już nie był w klasztorze; u furty zaraz spytał braciszka: czy brat tu nie był temi dniami?

— Od dwóch tygodni tu nie postął — rzekł furtan.

Nie było już, chcąc nocować w klasztorze, czasu wybierać się na miasto, i Marcyń pozostał w izbie gościnnej. Dano o nim znać O. Remigiemu; kazał go wezwać do siebie.

— Cóż ty tu porabiasz, panie podłowczy? — zapytał go wesoło, bo wątpię, żebyś się znowu o rekuperację dawnej funkcyi miał starać?

— Niech mnie Bóg uchowa! — odparł Butrym — rad jestem, że się ztąd wyrwał.

— A! bo wy subordynacyi nie lubicie — rzekł gwardyan, grożąc.

Milczał Marcyń, zwykłej słuchając admonicyi. Gwardyan rozpytywać się zaczął, co w Wisznicach porabiał, potem zapytał o znajomego proboszcza, o to i owo, naostatek:

— A brat co porabia?

— Męczy się, biedaczysko — westchnął zapytany. — Ja właśnie przybyłem tu, prawdę rzekłszy, szukając go. Wyjechał już temu dni cztery do Białej, a miał nazajutrz powrócić. Niéma go dotąd.

O. Remigi rzekł cicho:

— Ale tu go nie było, — choć ja go strofuję, przecież nad zbłąkaną owcą kommizeracją mam. On tu przychodzi, gdy bywa w mieście; a myśmy go już dawno nie widzieli.

— Tem-ei gorzej — odparł Marcyń. — Obawę

mam wielką. Zasadzali się na niego, Wolski ciągle odgrzał.

— Przecież, gdyby się co stało — rzekł gwardyan — w miasteczku-by mowa o tem była. Nie taki to człowiek, aby się dał wziąć, bez oporu, bez hałasu. Nie może to być.

— I mnie się tak zdaje — ale gdzież się podział? co mu się stać mogło?

Na tem skończyła się wieczorna rozmowa. Marcyń poszedł spocząć, a nazajutrz, do dnia wstawszy, pieszo do Froima pobiegł. Damazy tam zwykł był odpoczywać, będąc w miasteczku: tam więc napewno języka się dostać spodziewał.

Ale pierwszym głosem starego Froima było zapytanie o Damazego:

— Co się z pańskim bratem dzieje, że go tak dawno nie widziałem?

— Ja właśnie o niego miałem was pytać! — odparł Marcyń.

— Jest może ze dwa tygodnie, jak nie było go tutaj!

— Co u licha! — krzyknął Butrym — a cóż się z nim stać mogło! Niéma go tam gdzie być powinien, niéma tu; cztery dni jak go nikt nie widział.

Froim się za głowę pochwyił.

— Nieszczęście!

Nie wchodząc już nawet do niego, Marcyń zawrócił napowrót w miasto i zaszedł do Chai; ona go zapewniała, że odbardzodawna wcale się u niej nie pokazywał, gdyż pewnie obawiał się, aby go tu kto nie poznał, a u niej ludzi tylu było. Wskazała mu pocichu, inne domy, mniej na oku będące, w których mógł go szukać.

Lecz cały ranek do południa zszedł na tej próżnej po miasteczku włóczędce. Starał się Marcyń z różnymi tutejszymi mieszkańcami rozgadać, czy o jakim wypadku nie słyszeli; nikt o niczem nie wiedział.

Wstąpił do Zahajki, nie wydając się kogo szukać, a tu, bliżej zamku, sądząc, że wieść jakąś pochwyli. Różne rzeczy mu rozpowiadano, lecz nie takiego, coby się mogło tyczyć Damazego. Nie pozostawało mu już nic, jeno na zamek iść, ale do kogo?

Pokazywać się tam nie bardzo sobie życzył.

Szczęściem, przechodzącego ulicą, zobaczył Dederkę i bez czapki wybiegł, aby się z nim rozmówić. Podkoniuszy go przywitał zimno, przypatrując mu się i dopytując, gdzie przebywał, co porabiał. Butrym musiał się wyklamać, że w Sapiężyńskich lasach ma dozór nad kniejami.

— A u was tu co słychać? — zapytał.

— Nic, po staremu wszystko, bo my też starzy — rzekł Dederko. — Chorąży siedzi w domu, gości huk zawsze, Wolski rośnie coraz, dobrze mu się dzieje. Cóż chcecie więcej? — *Ad majorem Dei gloriam* wszystko jako być powinno!

Popatrzyli sobie w oczy i Dederko zapytał:

— Co wy u nas porabiacie?

Bezmyślnie jakoś wymknęło się Butrymowi:

— Potrzebowałem konia pod wierzch, do objeżdżania lasów: myślałem, że go tu znajdzie.

— Konia? pod wierzch? — podchwycił, zbliżając się żywiej Dederko. — A to się składa, bo ja właśnie mam takiego, którego-bym odstąpił z małym zarobkiem. Kupiłem go tanio.

— Od kogo? od handlarza? — spytał Marcyń.

Podkoniuszy śmiać się zaczął.

— Nie od handlarza, a przecie, jakbyś trafił — rzekł — Wepchnął mi go Wolski, który chciał się go zbyć. Myślałem, że mnie oszwabi, bo z nim w handlu ostrożnym trzeba być, ale koń dobry, nogi mocne, nie stary; tylko, że białonóżka, a ja pstrokaczyny nie lubię.

— Tani? — zapytał Butrym — który rad końmi frymarczył.

— Nie drogi, a chcesz go widzieć? mogę pokazać — odparł Dederko — bo go nie trzymam na zamkowej stajni, ale tu, we dworku. Chodź ze mną.

Spodziewając się z dłuższej rozmowy skorzystać, Butrym się dał prowadzić do dworku. We-

szli w podwórze, Dederko zawołał na parobka, aby białonóżkę Wolskiego (gdyż go już tak nazwali) wyprowadził i natychmiast ze stajni ukazał się koń, na widok którego Butrym pobladł. Poznał w nim wierzchowca, na którym Damazy zawsze jeździł. Biała noga po kolano, już go dostatecznie cechowała, ale miał oprócz tego na jednym oku skazę, którą Marcyan nieraz oglądał, bo się bielma obawiano. Przystąpił do niego bliżej, z bijącym sercem, i postrzegł plamkę tę. Nie było wątpliwości, iż koń tensam stał przed nim, na którym brat jego z domu wyjechał. Butrymowi dech w piersi się strzymał; potrzebował chwili dobrej czasu, nim przyszedł do siebie, nie chcąc pokazać przed Dederką, co się z nim działo.

— Zkąd-że to Wolski wziął tego konia? — zapytał, siląc się na obojętność.

— Dyabli go wiedzą — odparł Dederko, on nigdy nic nie powie szczerze. Miał go z jarmarku, pono z Łomaz, przyprowadzić.

— Co za niego chcesz? — rzekł Butrym.

— Koń niczego, chodzi dobrze, nie stary, począł koniuszy, gdyby nie ta noga biała, trzymałbym go — ale mam koni dosyć a obroku mało. Jak mi dasz trzydzieści talarów, oddam.

— Skazę ma na oku — odparł Marcyan.

— Gdzie? jaką? — przyskoczył Dederko — jakżeś ty jej dopatrywał? ja nie widziałem.

Butrymowi szło o konia, jako o *corpus delicti*, ale przepłacać nie miał czem — nalegał na skazę. Dederko kłął Wolskiego.

— Dam dwadzieścia, kiedy chcesz, — odezwał się Marcyan.

Za dwadzieścia pięć targ został przybity. Butrym zadatek kładł zaraz na stół, a z pieniędzmi po konia miał przysłać; ale Dederko się oburzył i zawołał:

— Bierz konia zaraz — ja ci wierzę!

Kazał więc za sobą go prowadzić do karczmy Butrym, pożegnawszy się z koniuszym, a sam szedł przybity tak i przestraszony, że mu prowadzący konia drogę wskazywać musiał.

Jawnem dla niego było, że w tem zniknięciu Damazego Wolski rękę umoczył. Jego-to była sprawa.

Co miał począć, aby się czegoś więcej dowiedzieć?

Nie mógł pojąć, aby ostrożny i śmiały Damazy, który już przez tak długi czas umiał się wywijać ze wszystkich zasadzek, wpadł łatwo i bez walki w ręce Wolskiego. Nie mógł on sam jeden ma podolać; musiał mieć pomocników, a tacy ludzie, jakimi się posługiwał pan łowczy, mileć nie umieli. Niepodobniestwem więc było, aby się tajemnica utrzymała. Marcyan, siadłszy w izbie — ze łzami w oczach, bo i zabójstwo brata mógł przypuszczać, zbierał myśli, jak miał dochodzić tej tajemnicy.

Koń wskazywał najwyraźniej, że Wolski, albo był zabójstwa sprawcą, albo pochwycił Damazego i do więzienia go wtracił. Dostać języka Butrymowi trudniej było, niż komu innemu, bo się, naturalnie, zemsty po nim spodziewać musiano. Niemogąc sam sobie poradzić, a burząc się i dręcząc daremnymi wysiłkami, porwał się w końcu z siedzenia Marcyan i pobiegł do O. Remigiego. Jemu wszystko, jak na spowiedzi, zwierzyć było można.

Gwardyan przyjął go zrazu kwaśno.

— Jeszcze tu jesteś? — zapytał. — Bój się Boga, biedo szukasz? Siedziałbyś spokojnie w Wiszniach.

Zobaczysz niemał zapłakaną oczy Butryma, gwardyan, który serce miał najlepsze, mowę zaraz odmienił. Bez porządku i ładu począł Butrym opowiadać, jak przypadkiem, a raczej łaską Bożą, na ślad trafił.

O. Remigi, mimo, że chciał być chłodnym, ręce zacisnął i oczy podniósł do nieba.

— Co ja tu mam począć? — zawołał zrozpaczony Marcyan — wątpliwości niema, że Damazy popadł w jego ręce, ale gdzie, jak, kiedy i co się z nim stało? Jak tu dojść?

Gwardyan modlił się pocichu, bo gdy był mo-

cno wzruszony, zawsze odmawiał krótką modlitewkę, aby się uspokoić.

— Moje dziecko — rzekł smutnie — jam człowiek klasztoru nie świata. W tych sprawach ani wiem, ani umiem radzić, bo się odwołuję do Boga sprawiedliwości, aby On nas bezsilnych wspomógł i pokierował. Pomódl się i ty. Ja nie mam na to sposobu.

— Ojczy, a gdybyś, jako kapłan, spróbował przemówić do sumienia tego człowieka — rzekł Marcyan.

— Maż ten człowiek sumienie? — wybąknął, wychodząc ze swego zwykłego umiarkowania gwardyan. — Wiesz lepiej ode mnie, co się na zamku dzieje i do czego on, jako narzędzie służy? Chrzest przyjął, prawda — ale jedną wiarę porzuciwszy, drugiej nie ukochał — żadnej nie ma — a kto religii nie ma, z kąd-że sumienie u niego?

Rób, czem cię Bóg natchnie, a bądź ostrożnym, aby zamiast jednej, dwóch ofiar nie było.

Przeszedł się gwardyan po celi, ocierając pot z czoła i wdychając — myślał głęboko.

— Wymówiłem ci wczoraj gospodę w klasztorze — rzekł — ale wobec tego bólu i biedy twej, nie chcę abyś w miasteczku sam się męczył i narażał. Postaw konie w naszej stajni i póki tu jesteś, nocuj u nas.

Butrym podziękował.

Nie mu do czynienia nie pozostało, tylko z dawnych swych znajomości na zamku skorzystać i starać się tych wybadać, którymi Wolski się posługiwał, a najczęściej otaczał. Miał między celadzią, szczególnie w łowiectwie, dużo ludzi sobie życzliwych; lecz potrzeba było zbliżyć się do nich ostrożnie, aby oka nie zwrócić.

Na zamek iść nie mógł: postanowił więc u Chai siedzieć i wypatrywać, czy się tu kto nie zjawi z tych, co-by mu usłużyć mogli. Lecz do nocy nadaremnie czatował: nikt się nie ukazał. Rachował najwięcej na niejakiego Wątróbkę, bez którego Wolski się prawie nie obchodził.

Chłopak był bardzo przystojny, lat niewielej ośmnastu, w szczególnych jakichś faworach u łowczego, bo czasem nawet mu się zuchwale stawiał, a wszystko mu uchodziło bezkarnie. Między ludźmi, dla których stosunek ten był zagadką, chodziła wieść, iż ów sierotka był własnym synem Wolskiego. Prawda czy fałsz to był, Wątróbka rysami twarzy przypominał nieco łowczego, a obchodził się z nim tak, jakby się go nie obawiał wcale.

Chłopak był łotr, rozpuszczony, napity od rana do wieczora, napastnik, zbój, ale zręczny, odważny, nie szanujący nikogo. Wolskiemu służył, opływał we wszystko, ale go nie cierpiał; rozpowiadał nań najstraszniejsze rzeczy, obiecywał mu szubienicę i odgrażał się nawet. Wolski wszystko to od niego znosił. Razem z nim dokazywał, ludzi męczył, a gdy młodą głowę zalał i rozwodził się, politowania nie miał nad nikim — a potem, zaraz ze swego pana uragał się i wymyślał na niego.

Kilka razy, stawiał się popijanemu przy świadkach zuchwale Wolskiemu, ten mu plagami groził i sadzał go pod areszt — ale wprędce potem sam szedł uwalniać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PAMIĘTNIK KRÓLOWEJ WIKTORII.

(Dokończenie)

W Pamiętniku występuje powolnie, stopniowo, jak się stało w rzeczywistości, wtajemniczanie księcia Alberta w sprawy państwowe. Nie było to jedno z łatwych do wykonania zadań dla królowej w tak ściśle ograniczonych prerogatywach rządu, jakie zastrzegają prawa angielskie. Nowicyat ten zadrasnął nieraz miłość własną Wiktorii i jej małżonka. Ale umiarkowanie księcia

Alberta, jego zdrowy — jasny rozsądek i wielka cierpliwość królowej zwyciężyły na koniec wszystkie przeszkody. Z czasem wpływ jego i powaga stały się już niezaprzeczonymi. Od samego zresztą początku rady ks. Alberta udzielane małżonce sprowadzały częstokroć dobre skutki. Królowa, ukształcona wysoko a gruntownie, nadzwyczaj poważna, lubiła rozumnie poddawać się wskazówkom udzielanym jej przez męża. Zgodni we wszystkim pracowali oboje wspólnie. Nie nadzili się nigdy, najdłuższe dni nawet umieli doskonale poważną pracą zapełniać.

Pamiętnik, snując tę nie złotą serca kobiecego, dotyka wszystkich przedmiotów: polityki, publicznego i prywatnego życia królowej i jej stosunków z najznakomitszymi osobistościami całej epoki. Król Belgijski Leopold, Król Francuzki Ludwik Filip, lord Melbourne, Aberdeen, książę Wellington, sir Robert Peel, Palmerston i t. d. wychodzą jasno i pięknie na tych kartach niezmiernie prostoty i wdzięku, tego wyłączonego wdzięku, który pochodzi z prawdy. A obok wielkich historycznych postaci znajdujemy domowników, przyjaciół, służących, aż do zwierząt domowych, z których każde przynosi jakby własny pocziwy przyczynek do tego serdecznego opowiadania. Jestto niezmierny wdzięk rzeczy, z którą się żyło, czuło, cierpiało; której wrażenie jest święte — bo prawdziwe.

Jednym z ważnych bardzo wypadków, jakeimi się zajmuje pamiętnik, jest Wojna Wschodnia. Wszyscy wielcy aktorowie tej sprawy przechodzą przed nami, a te poważne ustępy przeplata opowiadanie domowych przykrości i domowego szczęścia. Były to właśnie chwile ostatniego przełomu w położeniu urzędowym księcia Alberta. Duch stronnictw nie złożył broni tak łatwo; przyszło do tego nawet, że sir John Russell i Aberdeen musieli publicznie w parlamencie wystąpić w obronę księcia. Następująca skarga, którą znajdujemy w dzienniku, maluje dostatecznie, jakie musiały być dolegliwości.

„Codzienne doświadczenie, pisze ks. Albert w 1854 r. zmusza mnie wyznać, że ludzie są źli! Nagromadzono wszystkie oszczerstwa przeciwko mnie, a jakiekolwiek świadectwo daje nam własne, czyste sumienie, zawsze ciężko jest widzieć się napastowanym tak niesprawiedliwie przez tych właśnie ludzi, od których ma się prawo oczekiwać czegoś lepszego“.

Ale obrazy domowego szczęścia spędzają szybko te chmury przykrości. Urodzenie się najstarszej córki w rok po ślubie, córki, którą pamiętnik pieczołomem imieniem „Viky“ nazywa; przyjsięcie na świat księcia Walii, „Bertie“ Pamiętnika, zdrobniałe „Albert“, osładza wszystkie gorycze, zacierają wszystkie smutki. Potrzeba czytać, jak tam się odzywa o mężu młoda małżonka, położnica najdroższa, aby zrozumieć, oile tu matka przewyższa królową. Są to może najświeższe, najpiękniejsze karty Pamiętnika. Liczna rodzina pomnaża radość i szczęście rodziców i daje uczuć czytelnikowi, jaki w tem wszystkim jest zasób domowych cnót i domowego pokoju.

Pierwsza wycieczka do Szkocji, przyjęcie pałacy archaiczne, pełne czci, jakie młodzi małżonkowie znajdują pod góralską strzechą, rzucone tu są z taką siłą kolorytu, jaki zachować może jedynie opowiadanie spisane na gorącym uczynku. Wspaniałe te karty, to Szkocya sama, a ów czarodziejski Balmoral, to posiadłość nabyta, ustrojona, przybrana przez tego drogiego ogrodnika, który się zowie ks. Albert. Zabawy i pierwsze nauki ks. Walii — ojciec w roli mentora pod okiem rozmiłowanej matki — są to czarodziejskie prawdziwie obrazy.

„Ten drogi Balmoral, — pisze królowa, — ten raj, do którego z każdym rokiem me serce przywiązuje się coraz więcej, bo tu wszystko jest dziełem Alberta, ślady jego drogich rąk i jego tak wytwornego smaku, wszędzie tu są widoczne!“

Ale ten raj, chociaż królewski, to raj życia ludzkiego. Wszystko się zmienia powoli. Powoli, powoli kółko domowe coraz się rozszerza; synowie idą do szkoły, córki wychodzą za mąż. Na kartach pamiętnika te zmiany uczuwa pilny czytelnik. Co to za różnica w opowiadaniu! Oto noty zebrane dzisiaj, a tam później tąż samą ręką dodany dopisek.

Po ślicznej wycieczce do Balmoral w 1861 królowa pisze: „Wracamy oczarowani i zachwyceni nad wszelki wyraz. Niestety! lękam się, aby to nie była nasza ostatnia wielka wycieczka w góry...“ A w 1867 r. dopisuje: „I była to ostatnia!“ książę umarł w końcu tego roku.

Po latach tylu, po dwudziestu czterech latach, królowa odwiedza te same miejsca Szkocji, odwiedza te same miejsca, ale sama, stroskana i jakby nieznana nikomu; każe się wyprowadzić na jedną z pobliskich wysokości, z kądem widzi ów piękny zamek lorda Breadalbam, gdzie ich tak gościnnie przyjęto; patrzy na ten obraz, przypomina śpiew ostatniego minstrela, którym ich żegnano. Widzi całą przeszłość i z rozdartym sercem woła: „Iluż to odeszło, którzy wówczas byli z nami!“

W 1852 r. w tym samym Balmorale królowa odebrała wiadomość o śmierci ks. Wellingtona. Pod wrażeniem głębokiego uczucia żalu dziennik jej te zawiera słowa: „Duma Wielkiej Brytanii, jej chwala, jej bohater nie żyje! Strata narodowa, wielka, niepowetowana. Niepodobna jest wyobrazić sobie tego kraju bez księcia (duka!); głowę jego otaczały wszystkie zaszczyty, do jakich tylko może mieć prawo poddany; wzniesiony nad wszystkich, panując wszystkim stronnictwom, które go wszystkie poważały, kochany i ubóstwiany od narodu, przyjaciel królowej. A też honory i zaszczyty, z jaką prostotą on je przyjmował!“

„Co za szczerość w interessach, co za prawosć, co za odwaga we wszystkich czynnościach! Nigdy korona nie miała i nigdy mieć nie będzie, lękam się tego, poddanego (*subject*) równie poświęconego, równie prawego, równie wiernego i równie silną podporę! Dla nas, którzyśmy już tylu stracili przyjaciół, niestety! których doświadczenie było nam tak drogie, ta ostatnia strata jest niepowetowana, bo jego gotowość do pomocy, rady, do przezwyciężania trudności, które nas otaczają, była niezrównana...“

„Żadne oko nie pozostanie suchem w całym królestwie. Zdaje się jakby czarny kir jaki nas pokrywał!“

Pamiętnik przechodzi z kolei do ostatnich dni panowania Ludwika Filipa, do wygnania Rodziny Orleańskiej, do cesarstwa we Francji. W opisie podróży cesarza Francuzów do Anglii i królowej do Paryża, ciekawy jest szkic Napoleona III, przez ks. Alberta; spostrzeżenia z wielu względów prawdziwe i głębokie.

„Cieszę się bardzo—piszę książkę—ze szczerości, z jaką rozbieraliśmy wszystkie ważne sprawy dzisiejsze. Jest on (Napoleon) spokojny i leniwy, ale wesoły i dowcipny, kiedy się czuje swobodnym. Wychowany w Augsburgu, mówi po francusku z lekkim akcentem niemieckim; nadto jeszcze jest coś niemieckiego w usposobieniu jego umysłu. Ukształcenie jego ogólne jest niedostateczne, nawet w przedmiotach pierwszorzędnej dla niego wagi, jak na przykład w przedmiocie historii politycznej nowożytnej i nauk politycznych w ogólności; sam się przyznaje do tego skromnie i szczerze. Za to co do dziejów napoleońskich, zna je na wylot; widać; iż myślał i rozmyślał wiele i głęboko; a jednak jego polityczne idee podobne są do wyobrażeń światowych ludzi, którzy miesza najpoważniejsze wiadomości z pojęciami małej wartości.“

„Napoleon podziwia instytucje angielskie i żałuje braku arystokracji we Francji, bardziej dla tego zapewne, aby mogła równoważyć siły demokracji, niż, aby zaprzeczać chciała jego władzy. Tysiącnie zadawał mi pytania co do wpływu, jaki wywiera konstytucja angielska i co do jej działania w naszym rządzie i był bardzo zdziwiony, kiedy się dowiedział, że królowa czyta wszystkie bez wyjątku depesze; jemu komunikują tylko wyścigi.“

W ogólności najbardziej zajmującymi ustępami *Pamiętników* są wyciągi z dziennika samej królowej. Styl tych wyciągów, chociaż zwiezły, nie jest ani oschłym ani bezbarwnym. Wszędzie drga życie, uderza ciepło serca. Na trzy dni przed odwiedzinami cesarza i cesarzowej francuskiej znajdujemy następną wzmiankę, skreśloną ręką królowej:

„Oczigodna Marya-Amelia (żona Ludwika Filipa) przyjechała do Windsoru. Jakże to smutno

widzieć ją w tym skromnym powozie, ciągniętym przez nędzne pocztowe konie i pomyśleć, że to była królowa Francuzka! Sześć lat zaledwie temu, mąż jej był tutaj w całym blasku przepychu, który będzie otaczał dziś jego następcę!“

Potem występuje przyjęcie obojga cesarstwa, przyjęcie prawdziwie tryumfalne, szczególnie ze strony ludu. Sama to królowa z pewnem zadziwieniem zaznacza. Bale, festyny, zabawy i rozmowy w domowym kółku: wszystko to ma wdzięk i żywe zajęcie wzbudza w czytelniku. Znajdujemy dalej podróż królowej do Paryża, jej wrażenia i uwagi. Królowa jest zadowolona widocznie i jej radość z przyjęcia wyraża się bez ogródki i bez wyszukanych wyrazów. Wrażenia z wystawy, z łowów w St. Germain, z całego przyjęcia, na którem: „choć się nie jest u siebie, ale Albert jest tak ceniony, kochany, szczęśliwy!“

Następnie w 1857 i 1858 ten jasny i czysty horyzont chmurzy się powoli. Wymagania polityczne zmieniają trochę stosunki, tak serdeczne, i książę Albert tak streszcza tę zmianę w liście do swego przyjaciela, doktora Stockmara:

„Spodzielam się, że to spotkanie (w Cherbourgu 1858), przyniesie coś dobrego, ale mam głębokie przekonanie pewnej zmiany w cesarzu. Czuję, jak się wyraża Juliusz Cezar Shakespeare'a: *że gorący przyjaciel ostygł...*“

Nie podobna mi jest iść w ślady wypadków, które się rozwijają następnie, i które, nietylko w życiu królowej, ale w życiu wszystkich doprowadzają głębokie zmiany, zmiany, którym ulega nawet stan Europy i świata. Zbliżamy się tu, do lat ciężkich doświadczeń w życiu, tak pogodnem dotąd, królowej. W 1861 r. traci ona najpierw ukochaną matkę. Żal i boleść niezmierna. Ale cóż się to stanie, kiedy się przyjdzie rozłączyć się z tym, który jej droższy jest nad życie, — kiedy, jak mówił Dizraeli, ten mąż wielbiony więcej niż w pierwszych dniach nawet, ten przyjaciel, pan, doradca, przewodnik, ten, który jej jest *wszystkiem we wszystkim*, będzie wydarty królowej!

Śmierć zwała tego człowieka w czterdziestym drugim roku życia, w całej sile dojrzałego wieku; w chwili, kiedy rady jego i jego wpływ były droższe niż kiedy, dla rodziny i kraju. Zdawało się jakgdyby przeczuwał bliski swój koniec.

„Ty się przywiązujesz do życia, — mówił do królowej — ja bynajmniej; pewien jestem, że gdybym zachorował dziś ciężko, nie walczyłbym długo z chorobą...“

I rzeczywiście, walka była krótka. Od piętnastu dni czuł się cierpiącym, nie sypiał i skarżył się na newralgię. D. 22 Listopada pomimo deszczu ulewne poszedł obejrzeć roboty około szkoły wojskowej i wrócił w stanie wielkiego osłabienia. Objawiła się gastryczna gorączka; d. 14 Grudnia książę oddał Bogu ducha, na rękach tej, którą tak głęboko ukochał.

Odtąd jakby nadmierna przepaść się rozwarła pomiędzy życiem królowej i jej przeszłością; kobieta i jej dziennik przywdziewają wieczną wdowę szatę — i jak ona sama się wyraża: „Teraz dla mnie zaczyna się nowe panowanie — panowanie łez i żałoby!“

Czas jednak boleść uśmierzył; królowa pogodziła się z losem, z nieszczęściem, przyzwyczaiła do straty: lecz jeszcze dziś, jak dawniej, sumiennie pełni swoje obowiązki, obowiązki polityczne; towarzyskie bowiem zdała zupełnie na młodszą generację książąt i księżniczek, która ją otacza szcunkiem i miłością.

Naród, pomruczawszy trochę na to odosobnienie i usunięcie się od świata swojej królowej, pogodził się z myślą, którą Dizraeli doskonale streścił w słowach: „Ta, która nam panuje, chciałaby aby całe jej życie opierało się na rodzinnej miłości. Dlatego to uczucie narodowe jest dziś zasmucone serdecznie — i naród cały przynosi do stóp tronu swój hołd przywiązania i szepcze słowa pociechy do serca owidowiałej pani!“

Dając ten rys pobieżny, tę charakterystykę pomnika, który dźwignęło serce ukoronowanej matrony na cześć towarzysza jej życia i trudów, miałem na celu przedewszystkiem to, aby w złotej księdze *Bluszczu*, poświęconej matronom i niewiastom świata całego, nie brakło tych listków pamię-

ci, zbieranych rękami najszlachetniejszej i najcnotliwszej z kobiet.

Wł. Chodzkiewicz.

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuskiego.

I. Przylądek św. Jakóba. — Pierwsze wrażenia. — Saigon.

Była dziewiąta. Niebo pochmurne, widnokrąg zamglony.

— Ogień po lewej stronie przed nami! — zawołał majtek stojący przy kotwicach.

— Poruczniku! zawiadomić kapitana, że widać ogień z Przylądka św. Jakóba — rozkazał officer służbowy.

W chwilę później ukazał się na pokładzie kapitan statku i wydał rozporządzenie zarzucenia kotwicy, a w pół godziny potem łoskot, z jakim spadała, zbudził w legowiskach dzikich gospodarzy wzgórz, otaczających zatokę Kokosową¹⁾.

Na wybrzeżu widać było migający białawy ogień — łódź odbiła od lądu i wkrótce przypłynęła do okrętu. Człowiek, przybrany w kapelusz z włókien aloesowych, wdrapał się szybko po spuszczonej mu drabinie sznurowej i jednym skokiem stanął na pokładzie. Tusza nie zaważała mu z pewnością. Jakież to było wychudłe biedaczysko! Był to sternik.

— Kiedy będziemy mogli wpłynąć na rzekę, sterniku?

— Jutro, o brzasku dnia, kapitanie.

— Dobrze; do jutra zatem.

Sternik skłonił się, odwrócił i zszedł tą samą drogą, jaką przybył.

Nagle zpoza brzoźka osłaniającej go chmurki wyjrzał księżyc. Po pomoście okrętu powiał gorący prąd powietrza, przynosząc nieznana dotąd silną woń oliwy kokosowej i betelu.

Przy niewyraźnem świetle, niezupełnie oświeconego z chmur księżyca, widać było z prawej strony, trochę ku tyłowi okrętu, ciemno rysujący się Przylądek św. Jakóba; kilka jaśniejszych miejsc z boku skały wskazywało domy stacji sygnałów okrętowych, telegrafu, a poniżej chaty krajowców. W poprzek Zatoka Kokosowa; z lewej zaś strony, w oddali, szarzała linia palm i rzeka Saigon.

Północ już, a jeszcze nikt nie ma ochoty opuścić pokładu; w kajutach duszno, jakgdyby je napęniała para wilgotna — gorąca. Każdy sadowi się, jak może: majtkowie siadają na deskach pokładu, officerowie na pakach i półkolu armat, pokrytych płótnem. Palono cygara, gawędzą; zwolna jednak rozmowa ustawała; denerwujący wpływ kochinchińskiego klimatu już się dawał czuć; wreszcie wszyscy usnęli.

Około 4-tej godziny sternik powrócił i z braskiem dnia statek popłynął dalej. Słońce zaledwo się ukazało, a już promienie jego pała żarem ognia. Posuwano się szybko krętem korytem rzeki, pośród wybrzeży, stanowiących niby dwa mury przyciemnionej zieleności. Gromady swawolących małp, postraszone świstem maszyny parowej, uciekały pośpiesznie, zabawnie się wykrzywiając; ale żora, czaple i inne okazy z olbrzymiej rodziny czaplowatych, opatrzone w długie szyje, jak mówi La Fontaine, stojąc na chudej nodze, przypatrzywały się z filozoficznym spokojem zięjącemu parę potworowi. Inne znów czaple, czubate, ruszające ciągle ogonami, zrywały się z wybrzeży i odlatywały ze zwistami nogami, dalej na ląd. Bawoły — zwierzęta o tyle głupie, o ile lekkie — pędziły ze spuszczonej łbami przez ryżowe łany, bijąc nogami w powietrzu niewidzialnego nieprzyjaciela. Kilku brudnych krajowców wyjrzało ciekawie z nędżnych lepierek, służących im za mieszkania, i przybiegło usiąść nad brzegiem rzeki

1) Zatoka Kokosowa znajduje się przy ujściu rzeki Saigon.

w postawie psów siedzących na tylnych łapach. Była to prawdziwa panorama ze zmieniającymi się co chwila widokami, za każdym zwrotem rzeki. W miarę posuwania się, zjawiały się coraz liczniejsze łodzie, tak zwane *sampangi*¹⁾; jedne, udawały się na morze za połowem ryb, inne znów wpływały na rozliczne rzeczki i kanały przecinające kraj we wszystkich kierunkach, a wpadające do rzeki Saigon.

W tej chwili wszyscy prawie na statku zajęci byli manewrowaniem, każdego jednak żywo zajmował widok, poraz pierwszych widzianych okolic. Jedni, zwolennicy św. Huberta, marzyli o cudownych polowaniach: zabitych pawiach, dzikich kurach, bażantach i krzykach; inni, jeszcze naiwniej wygórowanych żądań, upatrywali tygrysów, zapominając, że ten przebiegły zwierzę dziki, mający coś w sobie z natury czworonożnych i płazów, wiecej się czołga i suwa, aniżeli chodzi, i tym sposobem rzadko bywa widzianym. Wszyscy patrzyli, lecz, nie wiele mówiąc, głos tylko sternika słyhać było bezustannie: z lewego boku! z prawego! prosto! I znów z lewego! z prawego! i tak ciągle, a koło rudła obracanego przez czterech silnych majtków, kręciło się ciągle to w jedną, to w drugą stronę. Nagle ogarnęło wszystkich uczucie niezwykłego smutku, takiego żalu, co-to zdaje się ścisnąć cię za gardło i dławić. W sztabie od niejakiego czasu krążyły ponure wieści, iż wielkorządca przysłał depeszę, oznajmującą zmianę naszej marszruty; mówiono o przymusowym pobycie w Kochinchinie: jednym słowem, nie znając rodzaju niebezpieczeństwa, przeczuwano je, lękano się go. Rzecz to zupełnie niezależna od woli; smutne myśli ogarniają bezwiednie. Z trzystu blisko ludzi, składających załogę statku, wszystkich młodych, pełnych sił i życia, iluż nie ujrzy więcej szarych wybrzeży ukochanej Bretanii lub szafirowego nieba Prowancyi! Ilu z tych dzielnych, dorodnych chłopców, tak dziarsko dziś holujących, krwią swą użyźni zimny muł dna rzeki, stanie się pastwą tej jadownej, nigdy nienasyconej i nieubłaganej chciwej ciał ludzkich, ziemi!

Ale ten napad smutku nie trwał długo. Na zakręcie jednego z niezliczonych zwrotów rzeki ukazało się Saigon. Stolica francuskiej Kochinchiny nie zapowiada się zbyt ponętnie; lecz na widok powiewającego trójkolorowego sztandaru Francyi każdy doświadcza pewnego rodzaju wewnętrzznego drżenia. Duchu starego szowinizmu, co masz tutaj do czynienia? Tak, wiemy o tem dobrze, Saigon to Francya — ale pozorna Francya tylko, Francya niegościnna, bez serca, zatruwająca malaryą dzieci swoje; nie, to nie ojczyzna. Milcz, niepoprawny zrędo; zachowaj swe zachwyty dla Francyi prawdziwej; dla tej, którą kąpie wielki Ocean i zalotne Morze Śródziemne, dla tej, której słońce nie zabija, a ziemia wydaje życie, zamiast śmierć rozpościerać. Chociaż się widzi maszty, flagi i dzwonnice Saigou, do przystani jednak trzeba płynąć najmniej godzinę. Okolica przedstawia zupełną płaszczyznę, rzeka zawraca się dwadzieścia razy w kapryśne zygzyki; co chwila zdaje się, że już jesteśmy u celu, a w minutę później sądzić się można dalekim jeszcze od niego. Nakoniec ostatni już zakręt. Bacność! *Fleurus* daje sygnały! Areopag sterników tłómaczy je: *Kapitan ma się udać bezwzględnie do pałacu wielkorządcy.*

Pospiech ten jednak nie ma w sobie nic nadzwyczajnego; marynarzom zawsze trochę pilno. Tymrazem przecież sygnał ten, porównany z tajemniczą depeszą, otwiera pole domysłom i nie żałowanoby ich sobie z pewnością, gdyby nie zajęcie przy wpływaniu do przystani.

— Stój!

Jest to ostatnie słowo sternika. Statek posuwa się jeszcze trochę i kołysze, a następnie staje nieruchomo zupełnie wśród innych okrętów, znajdujących się w porcie. Wówczas sampangi nadpływają ze wszystkich stron; pokład zdaje się być szturmem zdobyty. To dawni przyjaciele i towarzysze przybiegają witać nowo-przybyłych; a za-

nami przedsiębiorcy pralni, szewcy i krawcy. Opaśli Chińczycy z długimi warkoczami, ukośnymi oczyma, miodowym sposobem mówienia, zaopatrzeni w szumne świadectwa, przybywają tłumami, ofiarując swe usługi.

Tymczasem, gdy na pokładzie gwarzą wszyscy, kapitan udał się na ląd do pałacu wielkorządcy i powrócił z następującą nowiną:

— Przygotowuje się wyprawa do górnej Kochinchiny. Wiedziałem ja o tem dawniej — dodaje — gdyż otrzymałem z tą wiadomością depeszę, lecz dotąd nie wolno mi było jej wyjawiać. Dziś mogę oznajmić ją wam urzędownie. Nie wiedząc jeszcze co wypadnie, admirał zatrzymuje nas czas jakiś jako załogę posiłkową, a od dziś za tydzień lub dziesięć dni udamy się do Tonkinu, z kład odpowiednio do okoliczności, popłyniemy dalej, do Chin, lub też powrócimy tutaj.

Opuszczając Francją, mieliśmy płynąć prosto do Chin i Japonii — zatrzymując się w Saigonie tyle tylko czasu, ile go będzie potrzeba na zaopatrzenie statku w żywność i węgiel. Kochinchina posiada, i słusznie poniekąd, niegodziwą sławę: wiadomość więc przywieziona przez kapitana stanowiła dla nas zwiłokę bardzo niekorzystną. A jednak wysłuchaliśmy jej z radością. Już taka natura marynarza: nawykły przyjmować życie, jak ono jest, i śmiać się z niespodzianek, jakie ono daje, by nie uledz, jak Figaro, pokusie zapłakania czasem nad niemi, lubi wydarzenia nieprzewidziane, a na myśl walki przebiega go zawsze dreszcz rozkoszy.

II. Saigon. — Widok ogólny. — Zakład Dzieciątka Jezus. — Ogród aklimatyzacyjny. — Tygrysy.

W Saigonie tydzień jeden szybko upływa — rozrywki, urok nowości i serdeczna przyjacielska gościnność, jakiej się tam doświadcza, każą zapominać o niebezpieczeństwach klimatu. Saigon, stolica francuskiej Kochinchiny, siedlisko rządu całej kolonii, zbudowane nad prawym brzegiem rzeki Donnai, której nadało swą nazwę, jest dziś już pięknym miastem, zapowiadającym jeszcze ulepszenia. Ulice szerokie, niemal wszystkie proste, są już prawie całe zabudowane. Znakoomite roboty, mające na celu higieniczną stronę miasta, powiększej części już ukończono; inne wkrótce ukończonemi zostaną. Są tam śliczne spacerowe ulice, wysadżane cienistemi drzewami, wspaniałe gmachy, z pośród których na pierwszym miejscu wliczyć trzeba pałac wielkorządcy, prawdziwie arcydzieło architektury, szpital morsk, a użyteczność jego, niestety! wiele się daje uczuć; wreszcie ogromne i wygodne hotele, kawiarnie starannie urządzone, w których Europejczycy znajdują wygodne pomieszczenie i dobrą usługę, po cenach niezbyt wygórowanych. Godzina czwarta po południu. Strzał armatni¹⁾ ogłasza, iż ruch na mieście pozwolony. Idąc ponad brzegiem morskim, widzisz stojące na kotwicach wojenne okręty, ciągnące się wzdłuż całego wybrzeża od gmachu morskiej poczty, aż do domu sygnałowego; dalej spotykasz pyszną restauracyą milionera Chińczyka Wanlai i orzeźwiający się kuflem piwa w kawiarni matki Ferrie, wyjdiesz na ulicę Catinat, główną arteryą miasta, ciągnącą się prostopadle od rzeki, w kierunku pałacu wielkorządcy.

W tej godzinie jednak i w tej części miasta, przyznać trzeba, niema nic szczególnie ciekawego, dla nowo-przybyłego wędrowca, chociaż bywa on zwykle usposobionym do zachwycania się czemkolwiek. Sklepy takiesame jak wszędzie, niektóre utrzymywane przez Chińczyków; dorożki powożone przez *czokoladowych* woźniców. Są to Indyanie z okolic Malabaru, a strój ich stanowi włniany pas pąsowy lub w szkocką kratę; officerowie w mundurach z niebieskiej flaneli i olbrzymich parasolo-kapeluszach, zwanych *salacco*. Niekiedy przesunie się blada kobieta, dziwacznie przybrana w strój europejski, śmiesznie zawsze wyglądający w tym ognistym klimacie, ciągnąca za rękę biedne dziecko, zdające się być figurką

z wosku: i oto wszystko. Czujesz, że nie jesteś we Francyi, a jednak tyle rzeczy ci ją przypomina; zdaje ci się, że jesteś chyba pastwą zmory, przedstawiającej ci w chaotycznym pomieszczeniu przedmioty najdziwniejsze z zupełnie pospolitemi. Idąc dalej, prosto przed siebie, ze dwadzieścia minut jeszcze, staniesz przed pałacem wielkorządcy, zbudowanym w połączonych stylach, w pół-chińskim, w pół-europejskim, zastosowanym zupełnie do charakteru całego kraju, co sprawia bardzo dobre wrażenie; lecz w tym kierunku dalej iść nie można, albowiem tam znajduje się wielka przestrzeń pokryta grobami, olbrzymie cmentarzysko, gdzie od wieków krajowcy grzebią swych zmarłych, ku wielkiej radości skrzydlatych drapieżników — ponurej armii, której niezliczone hufce znajdują zawsze żer w tych stronach.

Zwróciwszy się na prawo, przechodzisz około biskupstwa, a powracając, spotykasz dom pod wezwaniem Dzieciątka Jezus. Dobroczynny ten zakład, zostający pod kierunkiem księży Missyonarzy i zakonnic, znajduje się podobno w stanie nader pomyślnego rozwoju. Znacznym obszaru gruntu do niego należący, otacza biały mur zakończony potrójnym rzędem ostrych kawałów szkła z butelką; co jednak, jak mówią, nie przeszkadza młodym Annamitom przebywać go niekiedy na wezwanie jakiegoś Romea. Gdzie ta miłość nie trafi! Wiedziałem ja te Julie z ukośnymi oczyma i żółtymi licami, widziałem wiele przedstawicieli tej połowy rodzaju ludzkiego, zwanej tak samo w Kochinchinie jak gdzieindziej, piękniejszą połową; widziałem należące do wszystkich warstw społeczeństwa, zaczawszy od wieśniaczki zaledwo okrytej, aż do bogatej zalotnicy ustrojonej annamitki, widziałem, według zdania ludzi przyzwyczajonych do podziwiania tego rodzaju urody — prawdziwie piękne dziewczyny — przybywające za sprawunkami do miasta, przystrojone w okragły, jak przetak, bambusowy kapelusz, a stanowiący najwyższy już rodzaj wykintnej elegancji. Piękności te, w niebieskich jedwabnych koszulach, z włosami wysmarowanemi oliwą kokosową, mają nóżki obute w żółte skórzane papucze; pierś ich wydatna a ruchy lekko kołyszące, posiadają pewien wdzięk. Miękkie fałdy, niemal przezroczystej jedwabnej tkaniny, okrywają ciało jędrne, kształtów artystycznych; ale Boże wielki! co to za głowy, jakie wstrętne usta żujące betel! Na samą myśl o nich, już się niedobrze robi. Cudzoziemcy zamieszkujący w Kochinchinie od lat kilku, a nawet od kilku miesięcy tylko, utrzymują jednak, iż łatwo się przyzwyczaić do tego typu — i jako przykład przytaczają niejednego Europejczyka, zakochanego w Annamitce i czyniącego tyśiące niedorzeczności dla zadowolenia kosztownych zachcianek swej lubej. Zresztą, w tej kwestyi niema nic niepodobnego.

W Kochinchinie rosną olbrzymie okazy drzewa *Ficus indica*. Od każdej gałęzi zwieszają się wyrostki, niby sznury, z początku delikatne i wiotkie, następnie zapuszczają korzenie w ziemię i wkońcu stają się pniami tak grubymi, jak pień głównego drzewa. W ten sposób jedno drzewo pokryć może znaczną przestrzeń gruntu. Mnóstwo takich drzew w Saigonie. Jest tu i ogród aklimatyzacyjny, niezbyt dawno założony, lecz pod kierunkiem uczonego i wielkiej pracy i wytrwałości przyrodnika, stał się on pomimo tak krótkiego przeciagu czasu, już dziś odznaczającym. Szczegółowy opis byłby tutaj zbyt długim — gdyż wszystkie aklimatyzacyjne ogrody są do siebie podobne. Ten jednak posiada odrębną od innych, właściwą sobie cechę; dyrektor jego, zgromadził tam wszystkie rzadkie gatunki roślin, a okazy te zdobył za cenę wielkich trudów i niebezpieczeństw.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Do malutkiej liczby wystawczyń inwentarza na placu Ujazdowskim przybywają dwie panie: Marya

1) Sampang, jest to łódź długa, z przodu i z tyłu mocno spiczasta, opatrzona w środku bambusowym daszkiem, najczęściej w Kochinchinie używana do przewozu ludzi i towarów, albowiem w kraju tym wszędzie niemal rzeki zastępują drogi lądowe.

1) Od godziny 10 rano do 4 po południu, żołnierzom z koszar wychodzić nie wolno.

Reichel wystawi gęsi stepowych sztuk 6, p. Gomułicka kur 4.

P. Emilia Blochowa na urządzenie letnich wakacyj dla dzieci warszawskich nadesłała rs. 100.

Szkoła dozorczyń chorych, mająca się otworzyć przy Szpitalu Ś-go Rocha, nie otrzymała zatwierdzenia *Warsz. Rady miejskiej dobroczynności publicznej* z pobudek, że szkoła ta współzawodniczyłaby szkodliwie z uznaną i przez całe społeczeństwo nasze wysoce szanowaną instytucją Sióstr Miłosierdzia. Czy się nie omylono przecież? Pewna liczba kobiet uzdolnionych naukowo do pilnowania chorych byłaby dobrodziejstwem dla miasta tak już dużego jak Warszawa i dozorczynie świeckie pełniłyby swój pożyteczny zawód tam, gdzie Siostry Miłosierdzia, już dla samej ograniczonej swej liczby, być nie mogą i nie bywają nigdy. Szkoda, szkoda stała się zatem... Dozorczynie chorych miały przecież wedle planu szkoły kształcić się pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia; rozwijanie w nich religijności było jednym z warunków tego kształcenia, bo, jak słusznie powiedziano w motywach projektu szkoły, potrzeba jest tego uczucia, tego zwrotu i nastroju ducha, tym, których praca nie może być nigdy rzemiosłem samem i musi opierać się na wzniosłym, idealnym uczuciu podniesieniu. Dozorczynie świeckie, będąca wychowanką Sióstr Miłosierdzia, przejęłaby była od nich tego ducha ofiary i poświęcenia chrześcijańskiego, na którym się opierając, zgromadzenie to rozwija przez ciąg wieków pełną zasług działalność.

Zatwierdzono natomiast szkołę dyakonów przy Szpitalu Ewangelickim; szkoła ta utrzymywana będzie z funduszy gminy ewangelickiej, a kształcące się w niej dozorczynie chorych, oprócz obsługi Szpitala, będą się zajmować pilnowaniem chorych na mieście. Że tu przecież wyznaczenie religijne będzie zapewne jednym z warunków od uczennicy wymaganych, zatem szkoła nie zdoła wydać takiej liczby dozorczyń, ile ich potrzeba jest miastu, tak przy łóżkach ludzi chorych a samotnych, którzy dla względów wygody i nawyknień swoich nie chcą iść do szpitala, jak dla pomocy rodzinie zmęczonej już trudem czuwania nad chorym, lub tam na przykład, gdzie choroba uderzy matkę rodziny, a ojciec musi iść do pracy na chleb codzienny.

Różnomyślne a tym podobnych wypadków jest bardzo wiele; potrzebną jest naprzykład niezmiernie często obok osób niedoświadczonych lub zbyt nerwowych pomoc rozumniejsza, spokojniejsza. Jeżeli doktor nie może nigdy leczyć sam blizkich mu a sercu drogich, z powodu, że tu uczucie przywiązania może paraliżować jego poglądy na chorego, czy tasama pobudka nie przemawia za tem, aby pilnującą go osobą, tą, która będzie składać lekarzowi sprawozdania z postępów i przejawów choroby, mogła patrzeć trzeźwo, bez wzruszenia uczucia podnieconego przez trwogę, boleść lub nadzieję? A znajomość rzeczy, a doświadczenie — czy to znaczy mało? Znamy wypadki, w których dozorczynie odpowiednio uzdolniona byłaby dobrodziejstwem najwyższem; znamy wypadki, w których szukano jej po Warszawie jak zbawienia — i daremno....

Dobroczynne stowarzyszenie opiekunek Szpitala Ś-go Ducha w Łomży poczyni sobie wytrwale i szczęśliwie przebywa próby. I tak, gdy pora letnia sprowadza zwykle rozjeżdżanie się z miasta, komitet stowarzyszenia ogłasza, że w razie nieobecności którejś z opiekunek zastępować ją będą w dyżurach inne z pań stowarzyszonych.

Z dochodu, jaki przyniosło w Krakowie oglądanie *Hołdu Pruskiego*, przeznaczył Matejko 100 zł. reń. na stowarzyszenie Krakowskie opieki nauczycielek.

Dnia 25 Maja odbył się we Lwowie pogrzeb Adeli Kawarzykówny, nauczycielki ludowej, liczącej lat 25 a tak już zasłużonej, że orszakowi żałobnemu prócz licznie zgromadzonej publiczności, towarzyszyła wszystka młodzież szkolna. Ale szczególną uwagę zwracał liczny zastęp młodych kobiet, postępujących parami i niosących wieniec z napisem: „Nauczycielce swej wdzięczne uczennice ze szkoły służących“. Zmarła należała do liczby tych poświęconych nauczycielek ludowych, które po całotygodniowej mozolnej pracy w mie-

sce niedzielnego odpoczynku pracują w szkole służących.

P. Marya Felixa Czarkowska zamieszkała w Paryżu, złożyła w Galicyjskim Wydziale Krajowym 100,000 zł. reńskich w papierach pięcioprocentowych, przeznaczając tę sumę na utworzenie fundacji, mającej wspierać rozwój przemysłu i rękodzieł w Galicyi. Fundacja ta ma nosić nazwę: „Fundacja imienia Maryi Felixy z hr. Golejewskich Czarkowskiej dla rękodzielniczków i przemysłowców pochodzenia polskiego, podejmujących w kraju zawód rękodzielniczy i przemysłowy“. Zarząd fundacji obejmuje wydział krajowy Galicyi i W. Księstwa Krakowskiego, fundacja zaś wejdzie w życie z dniem śmierci fundatorki, która aż do tej chwili zastrzegła sobie procent od sumy Wydziałowi Krajowemu złożonej. Akt zapisu stawia za warunek, aby jedna połowa rocznego dochodu była obracana na stypendya dla uczniów szkół rzemieślniczych lub przemysłowych, kształcących się czy to w kraju, czy zagranicą, a prowadzących się moralnie i okazujących należyte w naukach postępy. Druga połowa dochodu powinna być użyta na pomoce w zakładaniu warsztatów rękodzielniczych w kraju przez tych uczniów, którzy, wykształceni się dostatecznie w obrabianiu rzemiosła, nie mają funduszu na rozpoczęcie swego zawodu. Wysokość stypendyów, jakoteż jednorazowych datków pomocy zostawia fundatorka rozporządzeniu Wydziału Krajowego z uwagą, że zmieniające się z czasem warunki ekonomiczne nie pozwalają na stałe pod tym względem oznaczenie. Do kandydatów na stypendya zaliczyć należy także tych uczniów szkół rękodzielniczych lub przemysłowych, którzy po skończeniu takowych z odznaczeniem pragną w zamiarze praktycznego wykształcenia się zwiedzić zagraniczne szkoły, albo zakłady rękodzielnicze czy przemysłowe.

Fundatorka złożyła przytem Wydziałowi Krajowemu milion złotych reń. w listach zastawnych 5 procentowych, jako kapitał mający wejść w skład majątku Ordynacji Czarkowskich, którą fundatorka ze względu, aby ziemia, oile można, nie wychodziła z rąk krajowców postanowiła utworzyć ze znacznych dóbr, posiadanych przez nią w starostwie Borszczowskim, i o co poczyniła już do rządu stosowne kroki. — Otoż skoro ta ordynacja wejdzie w życie, Wydział Krajowy zasiągać ma zdania każdego z ordynatów Czarkowskich w kwestyach wysokości stypendyów, zasiłków pomocy, oraz sposobu ich rozdawnictwa.

Zarząd majątku fundacji w razie jakiej zmiany przejść może tylko w ręce władzy krajowej autonomicznej, występującej z taką atrybucją, jaką posiada obecnie Wydział Krajowy. Fundatorka objawia w końcu życzenie, że pragnąc, aby tylko „najzdolniejsi, najpracowitsi — słowem pomocy najgodniejsi“ tak z uczniów, jak już z rękodzielniczków pochodzenia polskiego, z zapisu jej korzystać mogli, nie stawia już żadnych innych między nimi różnic i warunków pierwszeństwa dających.

Po zapisie p. Tekli Rapackiej, zapis p. Maryi Czarkowskiej jest najwspanialszym w tych czasach uczynionym darem dobroczynnym. Pani owa troszcząca się o to, aby nie z posiadanej przez nią majątku nie wyszło nigdy poza ręce jej ziemiaków i stanowiło zawsze część majątku jej kraju, przedstawia myślącą i szlachetnie czującą postać kobiecą.

W zeszłym jeszcze wieku znakomity angielski malarz, Joshua Reynold, przyjmując do Londyńskiej Akademii Sztuk pierwsze dopuszczone do tej godności kobiety, rzekł: — Nic zamknięciem nie jest dla dobrze skierowanej pracy, lecz nic inaczej otrzymanem być nie może! — Otoż angielskie dzienniki przypominają obecnie te słowa z powodu stanowiska naukowego, które w Anglii zostało świeżo ofiarowane kobiecie. Miss Elwelina Ormerod od lat kilku oddawała się bardzo pracowicie studiowaniu owadów szkodliwych dla rolnictwa i zyskała sobie na tem polu takie uznanie, że uważana za jedną z naukowych powag w dziedzinie entomologii, została w tych czasach mianowaną przez angielskie Towarzystwo Rolnicze entomologiem, a raczej entomologistką Towarzystwa. Potrzeba tej nowej posady przy *Towarzystwie Rolniczym* okazała się konieczną z uwagi na znaczne

rozszerzenie się w ostatnich latach plagi szkodliwych owadów. Spowodowane to być może przez kilka lat szczególnie wilgotnych a z rzędu po sobie następujących; może też sprowadzają kłeskę nowe i więcej sztuczne niż dotąd sposoby gospodarowania i uprawy pól, inaczej niż dotąd nawożonych. Przytem pojawiło się wiele nowych, nieznanych dawniej a bardzo dla rolnictwa groźnych owadów. Należało zatem pomyśleć, aby był ktoś zdolny powiadomić dostatecznie rolnika, jak mu się trzeba bronić przed kłeską, jak niszczyć szkodliwe owady, i zapobiegać, aby się nie tworzyły. Że kobieta dostała też bardzo ważną dla kraju posadę naukową, jest zaszczytem dla Angielek i wykazuje, co też prasa angielska podnosi, że w zakresie pracy, która się z naturą kobiecości nie sprzecza, zawsze kobieta będzie równouprawnioną z mężczyzną i nigdy rozumnej a uczciwej pod tym względem krzywda wyrządzonej nie zostanie.

Na dorocznym Wystawie Paryżkiej malarstwa i rzeźby znajdujemy wystawczyń naszych siedm. W dziale rysunku i malowania na porcelanie p. p.: Boulard z Warszawy, Duchńska, Stryjewska, Zaborowska i Zalewska; w dziale rzeźby: panna Dąbrowska, w dziale rytowniczym: panna Płużańska. Z wystawczyń innych narodowości wyróżniły się szczególnie: w dziale rzeźby hrabina Multado, wystawczyni bardzo chwalonego posagu królowej z dramatu Wiktora Hugo „Ruy Blas“; w dziele akwareli podobał się wielce obrazek vicehrabiny de Clairville „Marzycielka“ i snop polnych kwiatów wicehrabiny de Greffulhe.

Dnia pierwszego Maja otwartą została w Rzymie na przedmieściu Trastevere w ludowym teatrze „Politeama“ wystawa kwiatów wśród której odznaczyła się szczególnie księżna Doria wystawczyni nowej i bardzo pięknej odmiany zupełnie czarnych bratków. Księżna otrzymała zarazem nagrodę za kompletną kolekcję róż włoskich. Nagrodzoną została również druga księżna rzymska: Borghese, za odmianę róż tak ciemno purpurowych, że wydają się niemal czarnymi. Przyrodzoną pięknoscią natury jest piękno wesołe i jasne; obecnie człowiek zaczyna się ubiegać za pięknem smętne — za kwiatem żałoby.

Znaczna liczba odznaczających się przy egzaminach studentek Londyńskiego uniwersytetu, jak również znaczna liczba stypendyów, zdobytych sposobem konkursowym przez studentki tegoż uniwersytetu i innych otwartych kobiecie kolegiów i akademii sztuk, zwróciła uwagę publiczną, naprowadzając na wniosek: zali kobieta angielska nie przewyższa zdolnościami mężczyzny? Poeta laureat, Tennyson, napisał już nawet wiersz o złotowłosej dziewczynie, która w prostej szacie uniwersyteckiego mundur studentek — niewiadomo nam, aki on jest — występuje przed zebrany senat uniwersytecki i dostaje nagrodę zdobytą w szrankach naukowego turnieju na goniącym współz nią mężczyźnie. Wskutek tego, i innych głosów odzywających się w prasie angielskiej, wicekanclerz Uniwersytetu Londyńskiego, lord Jerzy Jessel odezwał się ze swoim na tę sprawę poglądem. Nie zapierając, że obecnie studujące w Anglii kobiety odznaczają się ogólnie niepospolitąmi zdolnościami i wielką pracowitością, która im zapewnia miejsce w pierwszych szeregach studującej młodzieży, dodaje, że nie może to jednak rozstrzygać kwestyi wyższych lub niższych zdolności umysłowych kobiet, porównanych ze zdolnościami mężczyzny. Mężczyźni średniej już tylko zdolności, cisną się licząc do auli uniwersyteckiej ze względem szczególnym na przyszłą zawodową swą pracę; kobiety przecież tylko najzdolniejsze, „kwiaty płci swojej“ pod względem umysłowości, zwracają się w tym kierunku. Przytem jest to obecnie jakgdyby straż przednia. Zastęp kobiet, pragnących nauki uniwersyteckiej czekał od lat kilku na przypuszczenie ich do niej, wiele z nich zajmowało się tymczasem pracą nauczycielską i większość jest obecnie wiekiem starszą od studującej młodzieży męskiej, posiada zarazem to wyrobienie umysłowe i moralne, jakiego braknie jeszcze tamtym. Przyszłość dopiero, dopiero drugie, trzecie pokolenie studentek może wykazać na zasadzie czynionych w uniwersytecie postępów, stosunek uzdolnienia kobiety do uzdolnienia mężczyzny, i jeszcze lord Jessel zastrzega sobie, aby skalą porównawczą było coś in-

nego niż liczby, bo zawsze przeciętny mężczyzna będzie się tu spotykał z wyjątkową, wyborową kobietą.

DROBNE LISTKI.

Żona znakomitego pisarza węgierskiego Jokaja poniosła śmierć okrutną z przypadku, który i u nas zabrał parę lat temu dwie ofiary: umarła z poparzenia się, sprawionego przez zajęcie się płomieniem pokostu, w który wchodził spirytus. Miasto Komorno ofiarowało Jokajowi obywatelstwo honorowe, za które podziękować pojechał. Małżonka jego, będąca bardzo staranną gospodynią i dobrą, troskliwą żoną, chciała w nieobecności męża odświeżyć mu mieszkanie i sama zajmując się przyrządzeniem zaprawy do podłóg, zapaliła na sobie suknie. Nieszczęśliwa umarła w kilka godzin po przybyciu wezwanego natychmiast męża.

Ze względu na wyprawę Rogozińskiego, interessującą nas rzeczą jest odkrycie przesłane Paryżkiemu Stowarzyszeniu Geograficznemu, przez uczonego Francuza, D'Abbadie, a które opiewa, że okadzania siarką bronią stanowczo od malarycznych wpływów okolic Podzwrotnikowych. Łowcy słoniów w Abyssynii, zapuszczając się za swoją potężną zwierzyną na wilgotne zarośla nadrzeczne, używają tego środka z nigdy niezawodzącym skutkiem i d'Abbadie radzi go podróżnikom europejskim.

Sławny podróżnik amerykański Stanley, twierdził na zasadzie spostrzeżeń czynionych, że najinteligentniejszymi z pomiędzy ludów Afryki są plemiona ludożercze. Otóż inny podróżnik, Dr Vandenhoevel, który świeżo powrócił z głębi Afryki, zbija to zdanie we francuskim *Revue de géographie*. Zdaniem jego mózg ludożerców jest wogóle bardzo mało rozwiniętym i umysłowe ich zdolności znajdują się na bardzo niskim stopniu postępu, gdy przeciwnie, plemiona żyjące się przeważnie pokarmem jarzynnym przedstawiają ród ludzi silnych, dobrze zbudowanych i pojętnych.

Legenda o Żydzie wiecznym tułaczem została w rzeczywistości zniszczoną. W Australii zmarł niedawno w szpitalu Niemiec, nazwiskiem Chrystian Schafer, który, nie mając ani jednego grosza własnego, przepędził całe życie w podróży, idąc wciąż przed siebie, w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, „aby widzieć“, jak zeznał przed śmiercią. Liczył na miłosierdzie ludzkie, na szczęście wreszcie i ufność ta nie zawiodła go tak pod jednym, jak pod drugim względem. Zawsze *ktos*, albo *coś* przychodziło mu z pomocą i idąc tak światem, ani z głodu nie umarł, ani nie zabrakło mu nigdy środków transportu tam, gdzie już człowiek pieszy posuwać się nie może. Zeszedł świat cały, obszedł go w koło: morza przebył na parowcach, które go przewoziły darmo, żywiąc w dodatku. Stowarzyszenia żeglugi znały już w końcu tego wytrwałego Ahaswerusa, przymykano więc oczy, gdy załoga czyniła mu miejsce między sobą i karmiła swemi racjami. W tensam sposób odziewano go. Umarł już starcem i można powiedzieć, że to był człowiek szczęśliwy, bo dokonał czego pragnął: widział całą kulę ziemską.

Dwieście milionów marek rocznie zbierają w Niemczech żebracy, chodzący po proszonym chlebie, jak dowiódł świeżo w Dreźnie dyrektor Domu Poprawy w Zwickau, radca stanu d'Alinge, opierając się na statystyce i niezawodnych liczbach, które przedstawił stowarzyszeniu czuwającemu nad wypuszczeniem z więzienia przestępcami. Wedle tych dowodów przeciętnie 200,000 ludzi w Niemczech prosi dziennie jałmużny, przenosząc się

z miejsca na miejsce i znajdując w ten sposób zapewnione sobie pożywienie i nocleg. Zebrani są w Niemczech według wykazów rady d'Alinge bardzo zyskownym rzemiosłem: przynosi dziennie najmniej jedną markę i siedmdziesiąt fenigów na osobę, co znaczy blisko pół czwarta złotego; zysk zaś najwyższy dochodzi nierzadko do marek 4-ch, czyli zł. 8 *nom.* Przeciwnie rzecz biorąc, wykazał radca d'Alinge, że żebracy wędrowni dostają rocznie 200 milionów marek od Ludu Niemieckiego, który głównie, a nawet powiedzieć można w zupełności, wspiera datkami swemi żebraków takich.

Sto lat życia kruka dowiedzionem zostało świeżo i pisma niemieckie zapewniają, że nie jest to bynajmniej dziwna rzecz. W okolicach Metz zaczął się ukazywać od pewnego czasu kruk szczególnej wielkości, krążący jednak dość nisko i którego lat był stosunkowo powolnym i jakgdyby poważnym. Gdy zerwał się z drzewa i płynął rozwinawszy ogromne czarne skrzydła, sprawiał jakgdyby uroczyste wrażenia. Ktoś strzelił i dosięgnął go, a podnosząc spadłego znalazłono mu na nodze srebrną obrączkę z napisem: „Urodzony w Courta y 1782 r.“ Przeżył zatem pełnych lat sto a i to był także podróżnik, który widział niemało.

Podróż balonem jest teraz na porządku dziennym doświadczeń i przechodzi coraz to nowe próby. W drugi dzień tegorocznych świąt wielkanocnych puścił się z Berlina balonem aeronauta Opitz, doświadczając już z powodu bardzo zmiennej pogody wielkiej trudności przy napełnianiu gazem balonu, mającego 39,600 stóp kubicznych objętości. Panował naprzemian wiatr, deszcz, świeciło słońce, niebo ukazywało ciężkie, siwe chmury: Opitz przecież nie chciał się już cofać, dla doświadczeń właśnie. O godzinie szóstej po południu wsiadł do łódki w towarzystwie niejakiego Wolfa; balon, wyrwawszy się w powietrze z rąk trzymających go żołnierzy, podniósł się na 3,000 stóp w górę i puścił się z wiatrem południowo-wschodnim w stronę chmur. Wyrzucono wkrótce trzy worki balastu i balon poszedł wyżej, lecz tam spotkał nowy prąd wiatru, który go pędził prosto w stronę południa. Na 6000 stóp nad ziemią żeglarze powietrzni spotkali i przebyli chmurę śniegową, co według opisu Opitza dawało wrażenie niewypowiedziane. Przebywając chmurę znajdowali się, jak gdyby wśród największej zawiei śnieżnej, grube płyty śniegowe otaczały balon i łódkę, oblegały suknie podróżników powietrznych i ściany balonu, które w końcu pokryły się grubą lodu skorupą. Ziemi już nie widziano wcale, a widok był takim, jakgdyby śnieg padający z góry leciał na gęstą chmurę śniegową poniżej, która go niosła ze sobą. Słychać było głuchy, niustanny szmer; wschód cały, nie biały od śniegu, ale przy zapadającym zmroku był matowo siwy; z zachodu przebijały się czerwone blaski zapadającego słońca, co—tworzyło razem nieopisany, z niczem na ziemi niedający się porównać obraz. Termometr spadł tymczasem tak, że pokazywał już tylko pięć stopni ciepła, a gaz w balonie zgęsnął do tego stopnia, że bez żadnego upuszczenia go, bez najmniejszego poruszenia klapy, balon zaczął spadać bardzo szybko. Dopiero gdy dosięgnięto warstw powietrza niższych, dawna równowaga została przywrócona i spuszczonego na ziemię w okolicach Berlina, w Hennigsdorfie. Angielskie pisma rozbierają szczegółowo okoliczności tej podróży powietrznej, wyciągając z niej wnioski co do warunków, w jakich mogłaby się znaleźć podbiegunowa wyprawa balonem kommodora Cheynea.

Las przedpotopowy odkrytym został na wyspie Fanö, położonej przy zachodnich brzegach Jutlandyi. W miejscowości nadbrzeżnej, Sönderho, morze i wichry, panujące tam często, zmiotły, a następnie spłókały wysokie usypy piasku i odkryły

zasypany przez nie las pierwotny. Ukazały się oczom zadziwionem potężne pnie drzew olbrzymich, w części powalonych, w znacznej części stojących, a jak można po układzie gruntu miarkować, las ten rozciąga się daleko wzdłuż wybrzeża i będzie go można odkopać. Zajęto się tym uważnie. Kommissya przybyła z Kopenhagi będzie przewodzić robotom. Wkrótce przedstawi się oczom ludzkim wspaniały widok okolicy przedwiekowej, wzmartwychwstającej dla ludzi dzisiejszych. Spodziewają się odkryć ważne dla nauki przedmioty starej flory i fauny tych stron północnych. Według starych sag miało się wznosić w bliskości tych miejsc starożytne miasto Westerho, którego śladów nigdzie dotąd nie widziano. Może i ono wyłoni się teraz z wnętrza ziemi. Ciekawa to rzecz być tam i oglądać, lecz las ten z czasów pierwotnej wspaniałości młodej natury ziemskiej, niewątpliwie ciekawszy od miasta.

Zdjęcie fotografii ptaków w locie, dokonane przez francuskiego fizjologa, profesora Morey, należy do ciekawych przyczynków nauki, które wiek nasz obficie zdobywa. Paryżka Akademia Umiejętności, podając sprawozdanie szczegółowe zaznacza, że każdy pojedynczy ruch skrzydła został osobno ujęty i że razem tworzy to tysiąc sekundowych lotu ptasiego obrazów. W 1879 r. udało się podobnie fotografowi Muybridge z San-Francisco uchwycić pojedyncze ruchy konia w biegu, przez zdjęcie zeń obrazu w przeciągu $\frac{1}{500}$ sekundy; odfotografował on podobnie stado gołębi w locie, a obraz otrzymany oddawał z doskonałą wyrazistością ruch skrzydeł każdego ptaka oddzielnie. Rzecz to dla nauki tem ciekawsza, że dotąd nie wiedziiano z pewnością, z jakich mianowicie poruszeń skrzydeł składa się lot ptaków, a dwaj najznakomitsi w tym kierunku uczeni, prof. Marey i Dr Bell Pettigrew, różnili się ze sobą w przypuszczeniach czynionych. Aby rzecz wyjaśnić, trzeba się było udać do tegosamego sposobu, według jakiego Muybridge badał ruch biegu konia i podać cały szereg obrazów, przedstawiających poruszenia następujące po sobie kolejno, co przyszło nie łatwo i na co trzeba było zużyć wiele czasu i cierpliwości. Professor Marey dokonał jednak rzeczy, za pomocą przyrządu z mechanizmem rewolwerowym, kształtu strzelby do polowania, który się wycelowywa na ptaka. Przyrząd taki daje dwanaście obrazów w jednej sekundzie, samo przecież zdjęcie jednego obrazu zajmuje $\frac{1}{100}$ części sekundy. Używając płyt z bromo-srebrnej żelatyny, można otrzymać w tym przeciągu czasu, obrachowanym na chronografie, obraz nawet przy niebie chmurami pokrytem. Przy pogodzie obraz może być zdjętym w przeciągu $\frac{1}{1500}$ sekundy. Skoro cały szereg takich obrazów lotu utrwali się na stroboskopijnej tafl, pospolicie zwanej cudowną, można sobie tak lot ptaków, jak bieg koni przedstawić przesuwając taflę przed zwierciadłem, z odpowiednią zręcznością.

Przy istnieniu takich fotografujących rewolwerów, nikt już pewnym być nie może, czy odfotografowanym nie zostanie w każdej chwili, na ulicy, w teatrze, na przykład piękna pani na balu i to za skierowaniem na nią niby niewinnej lornety teatralnej. I można, zdjawszy cały szereg obrazów osoby pewnej, w chwili jakiejś jej życia, utrwalić sobie tę chwilę na wieki, mieć ją zawsze na każde zawołanie, odtworzoną najwierniej, z całą prawdą życia, na uczynku schwytanego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

TREŚĆ. Entuzjastka-Matka, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Pamiętnik królowej Wiktorii, (dokończenie). — Wyprawa do Tonkinu. — Kronika działalności kobiecej. — Drobnie listki.

Warszawa — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Мая 1882 года.